

LUCY MAUD
MONTGOMERY
**BŁĘKITNY
ZAMEK**

PRZEŁOŻYŁA
KAJA MAKOWSKA

MARGINESY

The Blue Castle

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Kaja Makowska

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY

Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2025

GDYBY PEWNEGO MAJOWEGO poranka nie padał deszcz, | 5
życie Valancy Stirling potoczyłoby się zupełnie inaczej.
Pojechałaby z rodziną na piknik ciotki Wellingtonowej,
a doktor Trent udałby się do Montrealu. Ale deszcz padał
i sami się przekonacie, co z tego wynikło.

Valancy obudziła się wcześniej, o mdłej, beznadziejnej
porze poprzedzającej świt. Nie spała zbyt dobrze. Czasami
nie sypia się zbyt dobrze, gdy następnego dnia kończy się
dwadzieścia dziewięć lat i jest się niezamężną w środowisku,
w którym osoby niezamężne to takie, które po prostu nie
umiały znaleźć męża.

Deerwood i Stirlingowie już dawno obsadzili Valancy
w roli beznadziejnej starej panny, ale ona sama nigdy nie
porzuciła pewnej żalosnej, wstydlivej, wątpliej nadziei, że
jeszcze przeżyje swój romans. Nigdy – aż do tego okropnego
dżdżystego poranka, kiedy obudziła się ze świadomością,
że ma dwadzieścia dziewięć lat i nie pragnie jej żaden
mężczyzna.

Tak, w tym tkwił szkopuł. Valancy nie miała nic prze-
ciwko byciu starą panną. „W końcu – myślała sobie – staro-
panieństwo nie może być gorsze od bycia żoną mężczyzny

pokroju wuja Wellingtona albo wuja Benjamina, albo nawet wuja Herberta". Bolało ją to, że nigdy nie miała szansy być nikim innym niż starą panną. Żaden mężczyzna nigdy jej nie pożądał.

6 | Łzy napłynęły jej do oczu, gdy leżała sama w blednącej ciemności. Nie odważyła się płakać tak rzewnie, jak by chciała, z dwóch powodów. Bała się, że płacz może wywołać kolejny atak bólu w okolicy serca. Miała atak, gdy położyła się do łóżka, najgorszy ze wszystkich do tej pory. Bała się też, że przy śniadaniu matka zauważy jej zaczerwienione oczy i będzie dręczyć ją natarczywymi pytaniami o przyczynę.

„Przypuśćmy – pomyślała z upiornym uśmiechem – że powiedziałabym jej całą prawdę. Płaczę, bo nie mogę wyjść za mąż. Matka by się przeraziła, choć każdego dnia wstydzi się swojej córki starej panny”.

Ale oczywiście trzeba zachowywać pozory. „Pannie nie wypada – Valancy już słyszała w głowie ten sztywny, despotyczny ton – myśleć o mężczyznach”.

Myśl o przerażonej minie matki ją rozbawiła, gdyż Valancy miała poczucie humoru, o które nikt w rodzinie jej nie podejrzewał. Zresztą miała wiele cech, o które nikt jej nie podejrzewał. Jednak uciecha ta była bardzo powierzchowna i wkrótce Valancy znowu leżała skulona i żałosna, nasłuchując deszczu lejącego na zewnątrz i obserwując – z obezwładniającym niesmakiem – chłodne, bezlitosne światło wkradające się do jej brzydkiego, obskurnego pokoju.

Znała brzydotę tego pomieszczenia na pamięć – znała ją i jej nienawidziła. Żółtej podłogi i ohydneho dywanika z groteskowym psem, który szczyrzył do niej zęby, kiedy się budziła; wyblakłej bordowej tapety; sufitu z zaciekami

i spękaniem farby; wąskiej, nędznej umywaleczki; fioletowej papierowej rolety w różę; brudnego lustra przeciętego rysą, opartego na żalosznej toalecie; słoika starego potpourri zmieszanego przez matkę Valancy w jej mitycznej podróży poślubnej; zdobionej muszelkami szkatułki z wyszczerbionym rogiem, stworzonej przez kuzynkę Pytlę w jej równie mitycznym wieku dziewczęcym; przyozdobionej paciorkami poduszki na szpilki bez połowy paciorków; jednego sztywnego, żółtego krzesła; wyblakłej sentencji „Odeszła, ale żyje w naszej pamięci” wyszytej kolorową przędzą wokół ponurej starczej twarzy prababki Stirling; wiekowych fotografii krewnych dawno wyrugowanych z pokoi na dole. Tylko dwie ozdoby nie przedstawiały osób z rodziny. Pierwszą była stara chromolitografia szczeniaczka na progu, za strugami deszczu. Ten obraz zawsze deprymował Valancy. Samotny piesek przycupnięty na progu w ulewie! Czemu nikt nie otworzył mu drzwi i nie wpuścił go do środka? Drugą ozdobą była wyblakła rycina królowej Ludwiki schodzącej po schodach – ciotka Wellingtonowa szczodrym gestem podarowała ją Valancy na dziesiąte urodziny. Przez dziewiętnaście lat Valancy patrzyła na rycinę i żywiła nienawiść do tej pięknej, zadowolonej z siebie królowej Ludwiki. Mimo to nigdy nie odważyła się jej zniszczyć ani zdjąć ze ściany. Matka i kuzynka Pytla by się przeraziły albo – jak to Valancy beczelnie powiedziała sobie w myślach – wpadłyby w szal.

Naturalnie każdy pokój w tym domu był brzydki, ale na dole zachowano jednak jakieś pozory. Nie miały pieniędzy na pomieszczenia, których nikt nigdy nie oglądał. Czasami Valancy czuła, że sama mogłaby zmienić coś w swoim pokoju, nawet bez pieniędzy, gdyby dostała zgodę. Lecz jej

matka odrzucała każdą nieśmiałą sugestię, a ona nie nalegała. Bała się. Matka nie znosiła sprzeciwu. Rozeźlona pani Stirling dąsała się całymi dniami niczym urażona księżna.

Jedyne, co Valancy lubiła w swoim pokoju, to że mogła być w nim sama w nocy i płakać, jeśli chciała.

8 | Ostatecznie co za różnica, czy pokój, którego nie używała do niczego poza spaniem i ubieraniem się, jest brzydki? Valancy nigdy nie pozwalano zostawać samej w żadnym innym celu. Ludźmi, którzy pragną być sami – jak uważały pani Frederickowa Stirling i kuzynka Pytla – niewątpliwie kierował jakiś niecny cel. Za to jej pokój w Błękitnym Zamku był idealny i niczego mu nie brakowało.

Valancy, tak zastraszonej, przygaszonej, stłamszonej i lekceważonej w prawdziwym życiu, puszczała wodze fantazji w marzeniach. Nikt w rodzinie Stirlingów ani w jej otoczeniu tego nie podejrzewał, a już najmniej jej matka i kuzynka Pytla. Nie domyślali się, że Valancy ma dwa domy – brzydką czerwoną bryłę przy Elm Street i Błękitny Zamek w Hiszpanii. Valancy duchem mieszkała w Błękitnym Zamku, odkąd sięgała pamięcią. Była maleńkim dzieckiem, kiedy weszła w jego posiadanie. Ilekroć zamykała oczy, widziała go wyraźnie: z wieżyczkami i chorągiewkami na porośniętym sosnami stoku, otulony bladym błękitnym pięknem na tle zachodzącego słońca w cudownej i nieznanej krainie. W zamku było wszystko, co wspaniałe. Klejnoty godne królowej; szaty z księżycowego światła i ognia; sofy z róż i złota; długie marmurowe schody z wielkimi białymi wazami i smukłymi, spowitymi mgłą dziewczętami chodzącymi w górę i w dół; dziedzińce z marmurową kolumnadą, na których lśniły fontanny, gdy słowiki śpiewały wśród mirtów;

sale pełne luster, w których odbijali się tylko przystojni rycerze i piękne kobiety – w tym ona sama, najpiękniejsza z nich, za której spojrzenie ginęli mężczyźni. Jedyne, co pomagało jej przetrwać nudne dni, to nadzieja na nocne marzenia. Większość Stirlingów, o ile nie wszyscy, padłaby z przerażenia, gdyby wiedziała choć część z tego, co Valancy robi w swoim Błękitnym Zamku.

Po pierwsze miała w nim sporo kochanków. Och, tylko jednego naraz. Jednego, który uwodził ją z całą romantyczną żarliwością epoki rycerskiej i w końcu zdobywał po długich zalotach oraz wielu brawurowych czynach, a następnie poślubił z należytą paradą w przystrojonej kaplicy Błękitnego Zamku.

W wieku dwunastu lat marzyła o pięknym chłopcu o złotych lokach i niebiańsko błękitnych oczach. W wieku piętnastu – o wysokim, bladym brunecie, niezmiennie przystojnym. W wieku lat dwudziestu zamarzył jej się typ ascetyczny, rozmarzony i uduchowiony. W wieku dwudziestu pięciu – taki o ostrej szczęcie, nieco ponury i raczej surowy niż przystojny. W Błękitnym Zamku Valancy nigdy nie miała więcej niż dwadzieścia pięć lat, ale od niedawna – bardzo niedawna – pragnęła bohatera o rudawych włosach, szelmowskim uśmiechu i tajemniczej przeszłości.

Nie twierdzę, że Valancy celowo mordowała tych kochanków, gdy z nich wyrastała. Po prostu jeden znikał, a pojawiał się nowy. Pod tym względem w Błękitnym Zamku wszystko jej się układało.

Ale rankiem tego sądnego dnia Valancy nie mogła znaleźć klucza do Błękitnego Zamku. Rzeczywistość za bardzo na nią napierała, ujadając u jej stóp niczym wściekły pies.

Miała dwadzieścia dziewięć lat, była samotna, niechciana, nieurodziwa – jedyna brzydka dziewczyna w rodzinie ładnych osób – bez przeszłości i przyszłości. Jak daleko spoglądała wstecz, widziała nudne, bezbarwne życie bez jednej plamki szkarłatu czy purpury. Jak daleko w przód – zapowiadało się tak samo, aż została tylko samotnym, uschniętym liściem kurczowo trzymającym się jałowego konara. Moment, w którym kobieta uświadamia sobie, że nie ma po co żyć – ani dla miłości, ani dla obowiązku, ani dla celu czy nadziei – smakuje gorzko jak śmierć.

„Muszę żyć dalej, bo nie mogę przestać. Może będę musiała żyć osiemdziesiąt lat – myślała Valancy w panice. – W tej rodzinie wszyscy jesteśmy potwornie długowieczni. Na samą myśl robi mi się niedobrze”.

Była zadowolona, że pada, wręcz szczęśliwa. Piknik nie mógł się odbyć. To coroczne wydarzenie, na którym ciotka i wuj Wellingtonowie – zawsze myślało się o nich w tej kolejności – nieuchronnie świętowali swoje zaręczyny sprzed trzech dekad, w ostatnich latach stało się prawdziwym koszmarem dla Valancy. Okrutnym zbiegiem okoliczności wypadało w ten sam dzień, co jej urodziny, a odkąd skończyła dwadzieścia pięć lat, nie pozwalano jej o tym zapomnieć.

Choć nienawidziła tego pikniku, nie przyszłoby jej do głowy się zbuntować. Chyba nie miała w sobie nic z rewolucjonistki. A do tego dobrze wiedziała, co powiedzieliby wszyscy na przyjęciu. Wuj Wellington, którego nie lubiła i którym gardziła, mimo że zrealizował największe ambicje Stirlingów – „wzenił się w pieniądze” – teatralnym szepem zapytałby: „Nie myślisz jeszcze o zamążpójściu, moja droga?”, a potem ryknąłby śmiechem, którym niezmiennie

podsumowywał każdą swoją nudną uwagę. Ciotka Wellingtonowa, wobec której Valancy czuła żalosną trwogę, opowiedziałaby jej o nowej szyfonowej sukni Olive i ostatnim wylewnym liście Cecila. Valancy musiałyby udawać zadowoloną i zainteresowaną, jakby suknia i list były przeznaczone dla niej, inaczej ciotka Wellingtonowa by się obraziła. A Valancy już dawno stwierdziła, że wołałaby obrazić Boga niż ciotkę Wellingtonową, bo Bóg może jej wybaczyć, a ciotka na pewno nie.

Ciotka Alberta, okropnie gruba, z sympatycznym zwyczajem mówienia o swoim mężu „on”, jakby był jedynym osobnikiem rodzaju męskiego na świecie, niezmiennie pielęgnująca wspomnienie, że w młodości była piękna, składałaby wyrazy współczucia Valancy z powodu jej ziemistej cery... „Nie wiem, dlaczego w dzisiejszych czasach wszystkie dziewczęta są takie ogorzałe. Ja w młodości miałam różaną cerę. Uważano mnie za największą piękność w Kanadzie, moja droga”.

Może wuj Herbert nic by nie powiedział – a może żartobliwie skomentowałby: „Ależ ci się przytyło, Gnuś!”. Potem wszyscy by się ubawili tą jakże przezabawną sugestią, że biedna mizerna Gnuś mogłaby przytyć.

Przystojny, poważny wuj James, którego Valancy nie lubiła, ale szanowała, bo uważano go za inteligenta, a w związku z tym za rodzinną wyrocznię – gdyż klan Stirlingów inteligencją nie grzeszył – ze swoim chełpliwym sarkazmem, który zapewnił mu reputację erudyty, zauważyłby: „Zapewne ostatnimi czasy zbierasz posag?”.

Wuj Benjamin zaś zadawałby swoje obrzydliwe zagadki między chrapliwymi chichotami i sam sobie na nie odpowiadał.

„Jaka jest różnica między Gnuś a myszą? Mysz szuka sera, a Gnuś kawalera”.

12 | Valancy słyszała tę zagadkę pięćdziesiąt razy i za każdym miała ochotę czymś w niego rzucić. Nigdy jednak tego nie zrobiła. Po pierwsze, Stirlingowie po prostu nie rzucali przedmiotami. Po drugie, wuj Benjamin był zamożnym i bezdzietnym starym wdowcem, a Valancy została wychowana w trwożliwym podziwieniu do pieniędzy. Gdyby go obraziła, wykreśliłby ją z testamentu – o ile w ogóle ją w nim uwzględnił. Valancy nie chciała zostać wykreślona z testamentu wuja Benjamin. Całe życie była biedna i znała irytującą gorycz niedostatku. Znosiła więc jego zagadki, a nawet uśmiechała się do niego w katuszach.

Ciotka Isabel, prostolinijna i przykra jak wschodni wiatr, jakoś by ją skrytykowała – Valancy nie mogła przewidzieć jak, gdyż ciotka Isabel zawsze wymyślała coś nowego, żeby zadać cios. Szczyciła się tym, że mówi, co myśli, ale nie lubiła, kiedy inni odwzajemniali się tym samym. Valancy nigdy więc nie mówiła, co myśli.

Kuzynka Georgiana – nazwana tak po praprababce nazwanej tak po królu Jerzym IV – smętnie wyliczyłaby wszystkich przyjaciół i członków rodziny, którzy zmarli od ostatniego pikniku, i zastanawiałaby się: „Kto z nas odejdzie następny?”.

Uciążliwie kompetentna ciotka Mildred bez końca opowiadałaby Valancy o swoim wspaniałym mężu i ohydnie utalentowanych dzieciach, bo Valancy jako jedyna by to zdzierżyła. Z tego samego powodu kuzynka Gladys – a właściwie ciotka Gladys, zgodnie z precyzyjną definicją stopni pokrewieństwa według Stirlingów, ale „kuzynka” już się

przyjęła – wysoka, szczupła kobieta, która przyznawała się do wrażliwego usposobienia, ze szczegółami opisywałyaby udręki swojego zapalenia nerwu. Olive natomiast, cudowne dziecko całej rodziny Stirlingów, która miała wszystko, czego Valancy brakowało – urodę, popularność, miłość – popisywałyaby się urodą, wykorzystywała popularność i obnosiła się z diamentowymi insygniami miłości przed oślepienymi ich blaskiem, zazdrosnymi oczami Valancy.

Dziś tego wszystkiego miało nie być. Ani tego, ani pakowania łyżeczek. Pakowanie zawsze zostawiano Valancy i kuzynce Pytli. A raz, sześć lat temu, srebrna łyżeczka z zestawu ślubnego ciotki Wellingtonowej się zgubiła. Rodzina nigdy nie dała Valancy zapomnieć o tej łyżeczce. Jej duch powracał niczym Banko na każdej rodzinnej uroczystości.

| 13

Och tak, Valancy dobrze wiedziała, jak wyglądałby ten piknik, i błogosławiła deszcz, który ją uratował. W tym roku nie będzie pikniku. Jeśli ciotka Wellingtonowa nie może świętować w dzień święty, nie będzie świętować wcale. Dzięki bogom, jacykolwiek bogowie by to byli.

W związku z tym Valancy zdecydowała, że jeśli po południu nadal będzie padać, wybierze się do biblioteki po kolejną książkę Johna Fostera. Valancy nie pozwalano czytać powieści, ale książki Johna Fostera nie były powieściami. „To książki przyrodnicze – tak bibliotekarka powiedziała pani Frederickowej Stirling – o lasach, ptakach, robakach i takich tam”. Dlatego Valancy mogła je czytać – choć było aż nazbyt oczywiste, że za bardzo jej się podobają. Dozwolone, a nawet godne pochwały było czytanie w celu doskonalenia umysłu i wiary, ale książka, która daje przyjemność,

była niebezpieczna. Valancy nie wiedziała, czy doskonali swój umysł, miała jednak dziwne poczucie, że gdyby natknęła się na książki Johna Fostera przed laty, jej życie potoczyłoby się inaczej. Wydawało się, że uchylają drzwi do świata, do którego mogła kiedyś wstąpić, lecz teraz drzwi te były przed nią zamknięte na zawsze. Książki Johna Fostera znalazły się w bibliotece Deerwood dopiero w zeszłym roku, ale bibliotekarka powiedziała Valancy, że autor jest znany od lat.

14 |

– Gdzie mieszka? – zapytała wtedy Valancy.

– Nikt nie wie. Z jego książek wynika, że jest Kanadyjczykiem, ale to wszystko. Wydawca nie piśnie ani słowa. John Foster to prawdopodobnie pseudonim. Jego książki są tak popularne, że ciągle się wypożyczają, chociaż ja nie widzę, co w nich tak zachwyca.

– Moim zdaniem są wspaniałe – przyznała nieśmiało Valancy.

– No cóż. – Panna Clarkson posłała jej protekcyjny uśmiech, który całkowicie zdeprecjonował opinię Valancy. – Nie mogę powiedzieć, że bym interesowała się robakami. Ale Foster z pewnością wie o nich wszystko.

Valancy nie wiedziała, czy sama interesuje się robakami. To nie zadziwiająca wiedza Johna Fostera na temat dzikich stworzeń i życia owadów tak ją zachwycała. Nie potrafiła wskazać, co dokładnie – nęcący czar nigdy nieujawnionej tajemnicy, ślad wielkiego sekretu tuż za rogiem, nieuchwytne echo cudownych, zapomnianych rzeczy – magii Johna Fostera nie sposób było opisać.

Tak, pójdzie po nową książkę Fostera. Już miesiąc trzymała u siebie *Zbiory ostu*, więc matka na pewno nie zdoła

zaprotestować. Valancy przeczytała *Zbiory* cztery razy. Znała całe ustępy na pamięć.

I... prawie pomyślała, że pójdzie do doktora Trenta w sprawie tego dziwnego bólu w okolicy serca. Ostatnio nawiedzał ją dosyć często, a kołatanie stało się irytujące, nie wspominając o sporadycznych zawrotach głowy i osobliwej duszności. Ale czy mogła pójść do doktora, nikomu o tym nie mówiąc? To bardzo śmiała myśl. Nikt ze Stirlingów nigdy nie konsultował się z lekarzem bez wcześniejszej narady rodzinnej i zgody wuja Jamesa. Dopiero wtedy udawali się do przyjmującego w Port Lawrence doktora Ambrose'a Marsha, który ożenił się z kuzynką Adelaide Stirling.

| 15

Ale Valancy nie lubiła Ambrose'a Marsha. Poza tym nie miała jak dostać się do oddalonego o piętnaście mil Port Lawrence sama. Nie chciała, żeby ktokolwiek wiedział o jej sercu. Zrobiłoby się zamieszanie i wszyscy członkowie rodziny zeszliby się, żeby jej doradzać, ostrzegać ją i opowiadać okropne historie praciotek i kuzynek czterdziestego stopnia, które „po prostu wzięły i umarły bez ostrzeżenia, moja droga”.

Ciotka Isabel przypomniałaby sobie, że jej zdaniem Gnuś zawsze wyglądała, jakby miała kłopoty z sercem, „taka blada i wynędzniała”, a wuj Wellington odebrałby to jako osobistą zniewagę, bo „żaden Stirling nigdy nie chorował na serce”, Georgiana zaś teatralnym szeptem wróżyłaby, że „biedna, mała Gnuś już długo nie pożyje”. Kuzynka Gladys skomentowałaby: „No, ja mam takie serce od lat”, tonem sugerującym, że nikt inny nie powinien w ogóle mieć serca, a Olive? Olive tylko wyglądałaby pięknie, wyniosło i obrzydliwie zdrowo, jakby chciała powiedzieć: „Po

co w ogóle przejmujecie się marnym balastem takim jak Gnuś, kiedy macie mnie?”.

16 | Valancy czuła, że musi wizytę u lekarza zachować w tajemnicy przed rodziną, no, chyba że będzie to absolutnie niemożliwe. Była prawie pewna, że to nic poważnego i bez sensu ściągać na siebie ten cały chaos, który rozpętałby się, gdyby o tym wspomniała. Po prostu wymknie się dziś po cichu i pójdzie na wizytę do doktora Trenta. Jeśli chodzi o zapłatę, miała dwieście dolarów, które ojciec złożył w banku w dniu jej narodzin. Musiała podjąć pieniądze potajemnie, bo nigdy nie pozwalano jej wykorzystać nawet odsetek.

Doktor Trent był szorstkim, szczerym do bólu, roztargnionym staruszką, ale uważano go za autorytet w dziedzinie chorób serca, chociaż przyjmował tylko jako lekarz ogólny w podrzędnym Deerwood. Miał ponad siedemdziesiąt lat i krążyły pogłoski, że wkrótce przejdzie na emeryturę. Noga nikogo z rodziny Stirlingów nie powstała w jego gabinecie, odkąd dziesięć lat temu powiedział kuzynce Gladys, że jej zapalenie nerwu jest wyimaginowane i ma je dlatego, że lubi je mieć. Nie należy wspierać lekarza, który tak obraził twoją kuzynkę – nie wspominając o tym, że był prezbiterianinem, podczas gdy wszyscy Stirlingowie chodzili do kościoła anglikańskiego. Jednak jeżeli Valancy miała wybierać między młotem a kowadłem, czyli zdradą rodziny a ich poradami i marudzeniem, wybierała zdradę rodziny.